

A. K. Green.

Który z nich?

5

(Ciąg dalszy).

— Pytam się o to, ponieważ w nocy słyszałem jakieś chodzenie.

— To zapewne panienska. Słyszałam przed chwilą, jak mówiła, że o pierwszej w nocy schodziła pod drzwi pana, by posłuchać, czy pan czego nie potrzebuje. Panienska zadowolona jest, że to zrobiła, bo znalazła gaz na korytarzu zakrecony, zaświeciła też go zaraz, wiedząc, że pan na to zważa. Zapewne przeciąg zagaszył światło, gdyż, jak panienska mówiła, czuć było gaz.

Myśl, że to drogie dziecko tak troszczy się o mnie nawet w nocy, wzruszyła mnie głęboko. Z drugiej jednak strony, zastanawiając się nad tem, zaniepokoiłem się. O jakiej ściśle godzinie ona zeszła? Czy nie spostrzegła przypadkiem tego, kto wyszedł odemnie przez gabinet toaletowy? Koniecznie musiałem upewnić się co do tego. Jak tylko Genowefa wróciła po śniadaniu, zapytałem ją ostrożnie:

— Zdaje mi się, moja droga, że ty nieraz schodzisz w nocy, by posłuchać, czy ja śpię. Niepokoi mnie to. Bardzo to jest piękne z twojej strony, ale wolę, byś nie przerywała sobie w ten sposób snu. Możesz poprosić Jerzego, którego pokój jest na tem samem piętrze, co i twój, by przyszedł zobaczyć, jak się czuję.

— Nigdy nie obudziłby się sam. Chętnie uczyniłby to, lecz nie można żądać od niego za wiele.

— W takim razie Lionel. On śpi lekko. Zresztą sam słyszałem, jak mówiłaś, że on często w nocy spaceruje długo po swym pokoju.

— Przestał już od pewnego czasu. Alfred raczej mógłby zająć do wuja, gdy wraca. Lecz i on także, odkąd wuj jest chory, zmienił swe przyzwyczajenia. Już nie spędza pół nocy w klubie.

Teraz zaryzykowałem główne pytanie, starając się jak najbardziej ukryć swe wzruszenie.

— Kto więc wstawał razem z tobą tej nocy? Jestem pewny, że słyszałem czyjeś kroki zaraz potem, jak zaświeciłaś znowu gaz. Czy pokój Jerzego był otwarty, a może słyszałaś zamykanie jakich drzwi po powrocie do swego pokoju?

— Nie, mój wuju. Zaraz wróciłam... Lecz dlaczego w tak dziwny sposób wuj o to pyta? Co złego byłoby w tem, jeżeliby jeden z moich kuzynów wstał, lub jeżeliby spotkała którego z nich na korytarzu?

— Nic, nic... każdej innej nocy. Wczoraj...

Przy słowach tych osłabłem bardzo. Czulem, że sekret ten zadusi mnie, jeżeli go nie wyjawię. Nakazywała to zresztą najprostsza ostrożność. Genowefa domyślała się, że mam jej wyjawić coś bardzo ważnego. Widziałem to po bladej jej twarzy, po gorączkowym blasku jej oczu. Zapominając o jej młodości, zapominając o wszystkich postanowieniach, powziętych tej nocy, przyciągnąłem ją ku sobie tak blisko, iż uchem swem dotykała prawie mych ust. Kilkoma urywanymi zdaniem wyjawilem jej tajemnicę straszną, która odebrała mi na zawsze spokój.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu, gdy się podniosła. Po wysłuchaniu mnie aż do końca, zadała mi rozpaczliwym głosem pytanie, które ciągle ciążyło mi na sercu: „Który z nich?”

Synowie moi, nie wiedziałem, co odpowiedzieć i nie wiem tego dzisiaj. Wszyscy trzej przyszliście wkrótce potem do mnie. Każdy z was z jednakową gorliwością pytał mnie, jak noc spędziłem? Nie śmiałem szukać odpowiedzi w waszych oczach. Wtedy, gdyście byli przy mnie, raczej bałem się rozwiązania tej strasznej zagadki, niż jej pragnąłem. Może nie pozwalał mi na to portret waszej matki, zawieszony na ścianie. Wydawało mi się wprost profanacją, by podobną kwestyę rozważać przed jej oczyma, tak pełnymi miłości i ufności.

Genowefa nie straciła całej nadziei. Wierzyła w niewinność tego z pośród was, który jej stał się bliższy, nie chciała jednak wyjawić mi jego imienia. Widoczne było zresztą, że do tej pory nie odzyska na chwilę nawet jedną spokoju, dopóki sprawca tego zamachu nie zostanie odkryty. Dla mnie nie może już istnieć szczęście na świecie. Dzisiaj wieczorem zrobię każdemu z was prezent z dziesięciu tysięcy franków, na uczczenie rocznicy mego ślubu. Może w ten sposób uda mi się rozbudzić sumienie w tym z was, kto do tyła pragnie pieniędzy, iż dla nich nie waha się poświęcić mego życia. Nic nie zmienia w testamentcie. Rozgłoszę tylko pogłoski, iż większą część swych kapitałów zaangażowałem na giełdzie w grze, która wymaga całego mego doświadczenia,

by zakończyła się pomyślnie. Może w ten sposób zdołam odwiec chwilę swej śmierci, co pozwoli mi na odkrycie winowajcy. Lecz jeżeli wszystko jest bezpożyteczne, jeżeli czujność moja i Genowefy okażą się niedostatecznymi, by uchronić mnie od losu, który mi grozi, wtedy ten list, przeczytany przez was wszystkich razem wobec mego trupa, będzie moją ostatnią próbą wydobywania prawdy na jaw. Jeżeli nie chce, by przekleństwo me ścigało go aż do ostatniego dnia, jeżeli chce uniknąć kary Bożej, zaklinam sprawcę mej śmierci, by przyznał się wobec swej kuzynki i braci, których w ten sposób uwolni od podejrzeń. Pod tym tylko warunkiem udzielam mu swego przebaczenia, mając nadzieję, że i Bóg okaże się łaskawym i nie dotknie go karą za tak straszną zniewagę wszelkich praw ludzkich i boskich.

Na dwóch was pozostałych zsyłam swe błogosławieństwo wraz z życzeniami szczęścia i pragnieniem, by jeden z was pozyskał rękę tego drogiego dziecka.

Robert Hardy.

Wszystkich nas, którzyśmy nie znali jeszcze wówczas treści tego listu, ogarnęło zdziwienie bez granic, gdy Alfred w przystępie szalonego gniewu rzucił się nagle na Jerzego i spoliczkował go silnie, wołając:

— Toś ty, lajdaku, zabił naszego ojca!

W zamieszaniu, jakie stąd powstało, zauważyłem dwie rzeczy. Naprzód, że wobec tej gwałtownej sceny Lionel nie uczynił najmniejszego ruchu, by interweniować, następnie, iż Alfred natychmiast po uderzeniu uspokoił się i całą swą uwagę zwrócił na Genowefę. Nie pozwolono mu jednak zbliżyć się do niej. Komisarz, który powrócił w czasie czytania tego listu, nie dopuścił żadnej styczności z sobą członków rodziny, dopóki policja nie ukończy w zupełności rozpoczętego śledztwa.

Pierwszą rzeczą było odnalezienie flakonu, w którym był kwas pruski. Na samym początku poszukiwań Genowefa zbliżyła się do mnie i zapytała z niepokojem, czy sędzę, że wszystkich obecnych będą rewidowali.

W chwili tej Alfred, jakby domyślał się, o czem ona mówiła, podszedł do Rollina i rzekł:

— Ja nic nie mam do ukrycia. Niech mnie rewidują, jeżeli chcą. Nic nie znajdziecie u mnie kompromitującego. To nie ja jestem tym podłym mordercą.

Jakiś wściekły pomruk rozległ się w drugim końcu pokoju. Był to Jerzy, który chciał wyrwać się z rąk doktora Bressanta i agenta Douceta, by rzucić się na brata.

— Jeżeli jego rewidują, to niech i ze mną to zrobią — zawołał, szarpiąc się. — I w moich kieszeniach nie znajdziecie więcej, niż w jego, a może jeszcze mniej.

Nowe przekleństwo zakończyło tę rozmowę.

— Proszę o spokój! — rzekł komisarz stanowczo. — Rewidować obu.

Teraz gdy bracia pozwalali sobie na wzajemne formalne oskarżenia, on utracił wszelkie dla nich względy i nie wahał się wyjawić swych podejrzeń.

Panna Saugey, by uniknąć tej przykrej sceny, jaką sama mimowolnie wywołała, pociągnęła mnie z początku za sobą ku drzwiom, słysząc jednak słowa komisarza, przystanęła i schwyciwszy się obie rękami za moje ramie, utkwiała wzrok w braciach; upewniłem się wtedy, że jednego z nich musi kochać. W jakiż inny sposób wytłumaczyć drżenie całego jej ciała, które udzielało mi się przez trzymające mnie kurczowo jej ręce?

Lionel, o którym jeszcze nie wspominałem, nie ruszył się z miejsca za swymi braćmi. Gdy na niego przyszła kolej, dał się zrewidować bez najmniejszego protestu, mimo iż widać było, że jest to dla niego daleko bolesniejsze, niż dla innych; działała w nim także większa wrażliwość, jak i zwykły wstyd, że zawartość jego kieszeni będą wszyscy oglądali. Sam się dziwiłem, jakiego rodzaju może być człowiek, który nosi przy sobie książkę do nabożeństwa, pukiel włosów kobiecych, program z kawiarnianego przedstawienia szóstego rzędu i taką fotografię, iż musiałem nakryć ją czemprędzej, by nie obrażać wstydlivosti młodej panny. Flakonu nie znaleziono przy żadnym z trzech braci.

Widząc, że Lionel wstępuje na wyższe piętro, strzeżony wzrokiem agenta w cywilnym ubraniu, który niewiadomo, skąd się wziął, nie mogłem powstrzymać się od zapytania, dlaczego jemu pozwolono odejść od braci. Odpowiedziano mi, że chciał czuwać nad swą córeczką, która jedyna w całym domu mogła zasnąć spokojnie.

Przekonano się wkrótce, że to nie jest mała sprawa odnalezienie potrzebnego flakonu. Dwóch agentów, którym powierzono rewizję u służby, powróciło, mówiąc, iż na nic nie natrafili. Toż samo

rzekli i ci, co udali się na przepatrywanie pokoiów trzech braci. Rollin i Doucet, szukając w sali jadalnej, nie otrzymali żadnego rezultatu, mimo drobniawości, z jaką prowadzili swe badania. Z osób obecnych pozostałem nie rewidowany ja i Genowefa. Myśl, że podobnej zniewadze mogą poddać i tę, na którą spoglądałem z uczuciem, przewyższającym przelotne uwielbienie, wyprowadzała mnie z równowagi. Co jednak uczynić na to? Już zbliżał się do mnie komisarz i mówił:

— Żałuję bardzo, że czuję się zmuszony dokonać względem pana tej samej formalności, co i względem tamtych panów, nie potrzebuję jednak chyba dodawać, że odnosimy się do pana z najzupełniejszem zaufaniem...

Odezwanie się Genowefy przerwało te słowa.

— Błagam pana komisarza, proszę oszczędzić tej zniewagi człowiekowi, którego jedyną winą jest to, że oddał ostatnią przysługę nieznanemu bliźniemu i to w warunkach, których doniosłości nie mógł znać nawet. Rewidujcie mnie, rewidujcie Klarę, lecz uszanujcie obcego, szlachetnego człowieka. Przysięgam, że on niema flakonu! Przysięgam...

Nie wiedziała już sama, co mówi. Wzruszenia, jakie stopniowo przechodziła, wstrząsnęły jej równowagę umysłową. Wyciągnęła do komisarza błagalnie złożone ręce.

— Nie wiem, dlaczego to tak na mnie działa — dodała, zanim mógł jej ktokolwiek odpowiedzieć — czuję jednak, że nie mogłabym tego znieść.

Od chwili tej serce me należało już do niej, podbite tymi dowodami sympatii i poważania, których jednak nie ośmieliłem się wziąć za oznakę żywszego uczucia. Twarz moja zdradzała bez wątpienia wrazenie, jakie z tego odniosłem. Komisarz wydał się zażenowany, nie okazując tem niemniej zamiaru zerwania się tej formalności. W chwili tej pewne zamieszanie sprawił nagły okrzyk:

— A to głupiec ze mnie! Jedną minutę, proszę panów!

Był to Doucet, który nie przerywając swych słów, jednym susem znalazł się w jadalnym pokoju.

— Zauważyłem zaraz przy wejściu, że zegar stoi — rzekł, obracając ciężką marmurową podstawę zegara. — Proszę popatrzeć!

W mgnieniu oka wszyscy znaleźliśmy się przy nim. Wewnątrz, w miejscu, przeznaczonem na wahać, znajdowała się mała tubka od homeopatycznego lekarstwa. Na dnie była kropla jakiegoś płynu. Niczego więcej nie potrzeba już było szukać. Dobywający się z niej zapach gorzkich migdałów, przekonał nas, że tubka ta zawierała śmiertelną truciznę. Doucet ustawił ostrożnie zegar na poprzecznym miejscu. Potem zwrócił uwagę naszą na położenie wskazówek. Zatrzymały się one na godzinie pół do dziesiątej, to znaczy, zaledwie na dziesięć minut przedtem, zanim ja wszedłem do tego domu.

— O której godzinie pan Lionel Hardy wyszedł wieczorem? — zapytał komisarz.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Przed czy po wpół do dziesiątej? — pytał dalej, szukając wzrokiem na twarzach, które go otaczały, odpowiedzi, jakiej nie spodziewał się znaleźć na ustach.

— Niech pan nie troszczy się o Lionela — rzekł Alfred. — Nienawidzę jego miny purytańskiej, lecz on nawet robaczce nie zrobiłby nic złego.

Wrażenie, wywarłe temi słowami, nie należało do dobrych.

— Proszę pozwolić, bym ja ustaliła fakty — odważyła się odezwać Genowefa, wysuwając się naprzód. — Jeżeli pan zamierza oprzeć swe dowody o winie lub niewinności czyjejkolwiek na podstawie godziny, wskazanej przez tę skazówkę, to do żadnego wyniku pan nie dojdzie. Zegar ten od kilku już dni idzie zupełnie źle. Wczoraj stanął nagle. Słyszałam, jak wuj mówił, że należy go dać do naprawy.

— Proszę zawołać kamerdynera lub służącego, który sprząta zwykle w jadalnym pokoju — polecił komisarz. — Niech nikt nie mówi ani słowa. Chcę zapytać go sam i proszę mi nie przerywać.

Wszyscy poddali się temu. Poważne milczenie zaległo w tym pokoju, oświetlonym jak na wielką uroczystość, lecz znajdującym się w takim nieładzie, iż kamerdyner przy wejściu westchnął tylko żałośnie i pokiwał zdumiony głową. Wszystko było porzucane, pościągano dywany, które leżały teraz zgniecione w kącie, przewracano krzesła, a z kredensu powyjmowano wszelkie szkło i kryształ, które stały obecnie na wielkim stole.

— Och! — westchnął. — Jakże ja to teraz uporządkuję? Coby pan na to powiedział?...

Przerwał, każdy jednak domyślił się, co chciał dalej mówić. Komisarz ruchem ręki wskazał mu zegar.